Na Międzynarodowy Dzień Dziecka

Walka o utrwalenie pokoju — to walka o szczęście wszystkich dzieci na świecie.
CAF — fot. Andrzej Piwoński

Rok VI Rzeszów, 28. 5. 1955 r. Nr 20 (266)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

DZIŚ w NUMERZE:

IRENA PITULANKA — Dom kobiet

JAN GRYGIEL — Z dziejów oświaty w dawnej Galicji

I. J. — Sprawa Samuela Bolestraszyckiego

DLA UPAMIĘTNIENIA ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

FRANCISZEK ŚWIDER

„Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza szczególnie troskliwą opieką wychowanie młodzieży — głosi artykuł 68 naszej Konstytucji — **i zapewnia jej najszersze możliwości rozwoju".**

Artykuł ten daje wyraz wielkim osiągnięciom naszej młodzieży, jakie uzyskała dzięki zwycięstwu w naszym kraju klasy robotniczej i dzięki zwycięstwu nowego ustroju. Przed naszą młodzieżą stanęły otworem szkoły wszelkiego typu, placówki życia pozaszkolnego, sport i zakłady pracy. Obok szeroko rozgałęzionej sieci szkół, która daje młodzieży pełne możliwości przygotowania się do przyszłego zawodu i wychowania na pożytecznego członka społeczeństwa, **dużego znaczenia nabrały w Polsce placówki życia pozaszkolnego, a wśród nich młodzieżowe pałace i domy kultury.**

Wiemy dobrze, że wrogowie naszego ustroju starają się odciągnąć naszą młodzież od nauki i skierować ją na drogę bikiniarstwa w różnych jego postaciach.

Aby skutecznie zwalczyć próby wrogiej działalności, aby stworzyć właściwe warunki życia, pracy i rozrywki młodzieży w godzinach wolnych od zajęć szkolnych, państwo nasze buduje i prowadzi obok wielu innych placówek pracy pozaszkolnej młodzieżowe pałace i domy kultury.

Młodzieżowe pałace i domy kultury stanowią jedno z ogniw jednolitego systemu wychowania i nauczania, prowadzonego przez państwo ludowe. Wprawdzie placówki te są jeszcze dla szerszego ogółu społeczeństwa mało znanymi instytucjami wychowania pozaszkolnego, niemniej jednak potrafiły one już okazać się bardzo cennymi sprzymierzeńcami szkoły i rodziny w wychowaniu młodego pokolenia.

Liczne są cele i zadania pałaców i domów kultury w dziele wychowania młodzieży. Niewątpliwie niosą one cenną pomoc dla szkoły w realizacji wychowania socjalistycznego młodzieży, w pogłębianiu i uzupełnianiu wiedzy nabywanej przez nią w szkole, utrwalają umiejętności, sprawności i nawyki młodzieży w tym zakresie, wdrażają do samodzielnej pracy naukowej, budzą zamiłowania do rzeczy pięknych. Placówki te kształtują socjalistyczny stosunek do pracy, umiejętność współdziałania i współżycia w zespole.

Struktura i organizacja młodzieżowych pałaców i domów kultury pozwala w pełni realizować te cele i zadania.

Młodzieżowy dom kultury posiada zwyczajnie 6 działów programowych, jak: nauki, techniki, wychowania artystycznego, wychowania fizycznego, prac polityczno-masowych, biblioteczny oraz gabinety harcerski i metodyczny. Każdy dział obejmuje pracownię, gabinety lub oddziały odpowiadające ściślejszej specjalizacji. Celem zaspokojenia w pełni zainteresowań dzieci i młodzieży w poszczególnych dyscyplinach nauki, techniki, wychowania artystycznego czy fizycznego organizuje się w każdej pracowni koła wzgl. zespoły odpowiadające zainteresowaniom i poziomowi zaawansowania młodzieży

Obok pracowni różnego rodzaju ważną rolę spełniają gabinety harcerski i metodyczny. Pozwalają one roztoczyć przez pałac wzgl. dom kultury opiekę nad wszystkimi placówkami pracy pozaszkolnej, pełnić rolę wojewódzkiego ośrodka instrukcyjno-metodycznego.

Ten charakter pałacu czy domu kultury czyni taką placówkę niezmiernie pożyteczną w dziedzinie wychowania młodego pokolenia.

W chwili obecnej istnieją i rozwijają ożywioną działalność młodzieżowe pałace i domy kultury w większych miastach wojewódzkich naszego kraju. Obok największego i najpiękniejszego pałacu w Stalinogrodzie, widzimy takie placówki w Warszawie, Łodzi i Krakowie.

Nasze województwo i Rzeszów nie posiada do tej pory tak pożytecznej i potrzebnej placówki wychowawczej. Dlatego uznano za słuszne przystąpić do budowy młodzieżowego domu kultury w Rzeszowie i to w najbliższych 2—3 latach **w oparciu o środki, na które złożą się w wielkim procencie także świadczenia i fundusze państwowe, wygospodarowane i przekazane na ten cel przez zakłady pracy.** Tak podjęta inicjatywa pozwoli zakładom naszego województwa rozwinąć i rozszerzyć prace związane z walką o obniżenie kosztów własnych, zwiększeniem wydajności pracy itp., a młodzieży naszej okaże, z jaką troską dorosłe społeczeństwo traktuje jej wychowanie.

Obok ucieleśnienia troski o wychowanie młodego pokolenia **planowany młodzieżowy dom kultury będzie wyrazem wielkiego kultu społeczeństwa woj. rzeszowskiego dla naszego największego poety Adama Mickiewicza.**

W Roku Mickiewiczowskim społeczeństwo naszego województwa przystąpiło już do realizacji pięknego i porywającego planu, jakim jest budowa Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza w Rzeszowie. W chwili obecnej rozwijają ożywioną działalność komitety budowy tego domu na terenie całego województwa, gromadząc fundusze na ten cel. Społeczeństwo woj. rzeszowskiego w pełni docenia znaczenie tej budowy, czynem popiera piękny plan. Liczne wpłaty na cel budowy świadczą o tym wymownie.

W ofiarności na rzecz budowy wyróżniają się mieszkańcy Rzeszowa. Myśl wybudowania Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza w Rzeszowie znalazła bardzo żywy oddźwięk wśród robotników naszych zakładów i wśród młodzieży szkolnej. W akcji gromadzenia funduszów na czoło zakładów wysunęła się WSK w Rzeszowie, która wpłaciła już na budowę domu kilkadziesiąt tysięcy złotych i wezwała do podobnego czynu wszystkie zakłady naszego województwa.

Młodzież naszego województwa także pragnie przyczynić się do budowy MDK, gromadzi fundusze na ten cel i przekazuje je Woj. Komitetowi Budowy.

Obok szkół Rzeszowa, które pierwsze podjęły prace w tej dziedzinie, wyróżniają się szkoły powiatu gorlickiego, jasielskiego i inne.

Dni Oświaty, Książki i Prasy przyczyniły się niewątpliwie do jeszcze większego spopularyzowania planu budowy i do wydatnego zwiększenia funduszów na budowę.

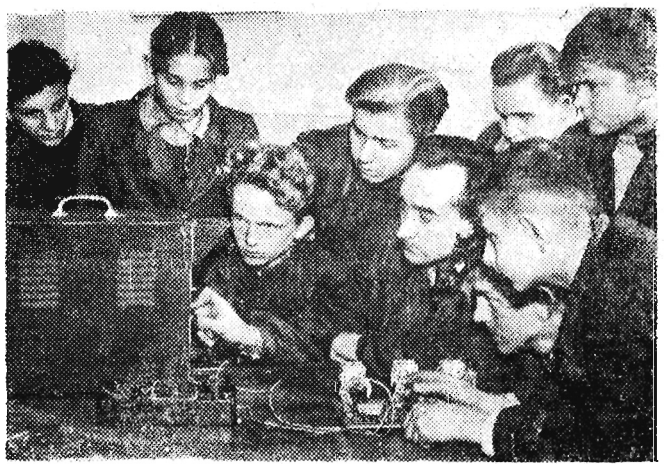

Na zdjęciu: Dział Techniki. Pracownia Radiotechniki. Instruktor Janusz Rogiński objaśnia chłopcom działanie oscylografu.
Fot — CAF

Władysław Błachut

Dębickie czyta

Skręcając w Dębicy na prawo od ruchliwego traktu do Rzeszowa i Przemyśla już z daleka dostrzeżesz w głębi wąskiej uliczki rzadki lasek brzozowy, a w nim okazały budynek — miejscowy Dom Kultury.

Celem mojej wyprawy jest tamtejsza biblioteka.

Stanisław Lesiak, bibliotekarz Domu Kultury nie zauważył nawet mojego wejścia. Ten niemłody już mężczyzna, w okularach na zmęczonych oczach, od 6 lat sprawuje tę funkcję. Pochylony nad zawalonym papierami stołem medytował właśnie nad układem jednego z działów propagandy poglądowej czytelnictwa na „Dni Oświaty, Książki i Prasy".

Bibliotekarz DK w Dębicy umie dobrać dla każdego czytelnika odpowiednią książkę.
Foto — Popijakowski

Po chwili oderwał się od swoich zajęć — uprzedzając mój wywiad na temat ruchu czytelniczego w jego niewielkiej bibliotece i zagadnął:

— Gotowi jesteście pomyśleć, że u nas zawsze tak spokój jak w tej chwili. — Przyjdźcie po południu, kiedy robotnicy i młodzież powychodzą z fabryk i szkół, wtedy zobaczycie, że tu nie wystawa, ale prawdziwa biblioteka i czytelnia. Na blisko 12 tysięcy tomów mamy już ponad 600 czytelników.

Pytam kto tu przychodzi najczęściej i jak zdobywa czytelników, którzy dotąd z książką niewiele mieli wspólnego.

— Najwięcej i najchętniej czytają robotnicy, młodzież oraz inteligencja pracująca. Ale również na wsi, wśród chłopów, czytelnictwo rozwija się coraz lepiej. Nasze „biblioteki sąsiedzkie" w takim Nagawczynie, Jastrząbce Starej czy Górze Motycznej cieszą się ogromnym powodzeniem.

— Cóż to takiego te biblioteki? Czyżby jakaś odmiana ruchomych punktów bibliotecznych na wsi?

— Coś podobnego, chociaż wcale nie to samo. Punkt biblioteczny — to w pewnym sensie placówka urzędowa, podporządkowana bibliotece gromadzkiej, z określonymi godzinami urzędowania itp., zaś biblioteka sąsiedzka, mój — że tak powiem — pomysł polega na dobrej woli chłopskich pionierów czytelnictwa, którzy zajmują się rozprowadzaniem zapasów książek w swoim środowisku.

Gratuluję mojemu rozmówcy tych jego pomysłów. Ale znowu czeka mnie niespodzianka. Mój rozmówca wyjmuje pękatą teczkę, w której zebrał wyniki rozpisanej niedawno ankiety na temat książki „Świt nad Afryką" Bidvella oraz z broszury popularno-naukowej pt. „Jak człowiek zaczął myśleć i mówić?".

Czytam wypowiedzi ludzi prostych, robotników i chłopów, o wrażeniach z książki „Świt nad Afryką". Ciekawa lektura. Wiele szczerych wzruszeń i głębokich uwag. Oto młody, 27 lat liczący chłop spod Dębicy pisze m. in.:

„Książka ta dała mi poznać dążenia ludu afrykańskiego do niezależności i samoistnienia i przekreśla to, że człowiek czarny jest czymś niższym od białego..."

Inny, starszy wiekiem czytelnik również ze środowiska wiejskiego tak formułuje swoje wrażenia po przeczytaniu książki o dalekich krajach i nieznanych ludziach:

„Książka zapoznała mnie z życiem plemion afrykańskich i oburzyło mnie to, że jeszcze w dzisiejszych czasach narody Afryki są tak prześladowane i wyzyskiwane przez władze francuskie i angielskie. Z pracy ludności afrykańskiej żyją imperialiści. Czuję, że Murzyni wypatrują lepszej doli i oczekują świtu wolności..."

Jeszcze więcej ciekawych uwag i spostrzeżeń przynosi ankieta nad lekturą „Jak człowiek zaczął myśleć i mówić?" — Bogusławskiego. Ale trudno na tym miejscu przytoczyć wszystkie listy.

Rozmowa z bibliotekarzem, który jeszcze parę lat temu parał się zgoła odmienną pracą, a dziś cieszy się zasłużoną opinią jednego z najlepszych w swym zawodzie potwierdza w całej pełni znaną prawdę o rozwoju człowieka w warunkach socjalizmu

— Sześć lat temu byłem stolarzem w warsztatach kolejowych — opowiada towarzysz Lesiak. — Zawsze jednak marzyłem o pracy wśród książek. Cieszę się, że moje marzenia nareszcie się spełniły.

* * *

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Dębicy mieści się w dwóch niewielkich pokojach, pełnych książek i ludzi. Gospodynią jest tutaj kobieta o nazwisku podobnym do naszego znajomego bibliotekarza z Domu Kultury. Zofia Leśniakowa. Podobne też są jej wyniki pracy oraz stosunek do książki i czytelników. I jeszcze jedno: Leśniakowa potrafiła wychować młody zespół oddanych sprawie czytelnictwa pracowników bibliotekarskich w Dębicy i na terenie powiatu. W pracy bibliotekarskiej kobiety uzyskują najlepsze wyniki. Na przykład Helena Żurek, kierowniczka biblioteki gromadzkiej w Paszczynie, która może się wykazać liczbą ponad 300 stałych czytelników chłopskich. Albo Wanda Lisowska, kierownik Biblioteki Miejskiej w Ropczycach, która na trzy tysiące mieszkańców miasteczka może wykazać się naprawdę rekordową liczbą blisko tysiąca czytelników.

Cóż leży u podstaw tego rodzaju sukcesów? Czemu to przypisać, że książka i gazeta stają się w tych stronach — podobnie zresztą jak w całym kraju — nieodłącznym towarzyszem człowieka w jego codziennym życiu?

Bilans swoich dziesięcioletnich prawie doświadczeń zamyka Leśniakowa w niewielu słowach: — Oświata i postęp nierozerwalnie łączą się ze sobą. Nasz ustrój walczy o postęp i popiera oświatę.

I znowu — podobnie jak w Domu Kultury — rozwija się opowieść o metodach współpracy z czytelnikiem w mieście i na wsi, o różnego rodzaju konkursach czytelniczych, naradach i dyskusjach, nad książką, o popularności niektórych autorów i skuteczności propagandy poglądowej.

— W naszym powiecie — kontynuuje Leśniakowa — oprócz znanych, czołowych klasyków — dużym powodzeniem cieszą się książki: „Jaworowy dom" Macha oraz „Zbuntowani" i „Zawieja" Koguta. I nic w tym dziwnego. Przecież obaj pisarze związani są z naszymi stronami.

— Nie dziwi mnie ta popularność znajomych pisarzy wśród inteligencji. Proszę mi jednak powiedzieć w jaki sposób książki tych autorów dotarły również do chłopskich czytelników?

— Musicie wiedzieć, że konkurs czytelniczy dziesięciolecia Polski Ludowej rozpisany pod hasłem **„W każdym domu czytelnik, zespół czytelniczy w każdej świetlicy"** u nas naprawdę cieszy się powodzeniem. Naprawdę w każdej świetlicy powstaje jeden lub więcej zespołów czytelniczych, którymi kieruje zwykle najbardziej uświadomiony czytelnik i — że tak powiem — lansuje lekturę, która jego zdaniem zasługuje na upowszechnienie. Stąd popularność Koguta w takiej na przykład Krzywej koło Sędziszowa, gdzie światły ludowiec, małorolny chłop Józef Orzech prowadzi aż pięć kilkuosobowych zespołów rozczytujących się w ciekawej książce Koguta „Zbuntowani". Musicie wiedzieć, że w ten sposób wyróżnieni pisarze nie pozostają obojętni wobec swoich czytelników. Oto autor „Zbuntowanych" — Bolesław Kogut przyjeżdża do Sędziszowa, gdzie miejscowe Zakłady Drzewne organizują jego spotkanie z czytelnikami...

* * *

W gorącym okresie Dni Oświaty, Książki i Prasy — wystawy, stoiska, loterie, wieczornice, kiermasze i wycieczki absorbują wszystek czas pracownikom bibliotek. Dlatego żegnam je i wychodzę na śmiejące się do słońca ulice miasteczka. Po drodze mijam wyładowane cegłą i żwirem dwukonne chłopskie furmanki. Na szerokim błoniu pod miastem czerwienią się wyciągnięte pod dach hale nowej fabryki, dymią kominy dębickich zakładów przemysłowych. Słońce przygrzewa coraz bardziej. Szerokie korony posadzonych wzdłuż ulicy lip i jaworów użyczają coraz mniej dobrotliwego słońca. Zawieszona wysoko na jednym z nich kukułka w charakterystyczny sposób wita — nadejście wiosny. Przypomina się jedna ze strofek pięknego wiersza Ficowskiego pt. „Mazowsze".

„Zazula, zazuleczka
zakuka nie do pary,
choćby kukała wiecznie,
nie wróci się świat stary...".

Wierzymy poecie — w obliczu przemian, z którymi w naszym kraju spotykamy się na każdym miejscu.

Wł. Błachut.

Irena Pitulanka

DOM KOBIET

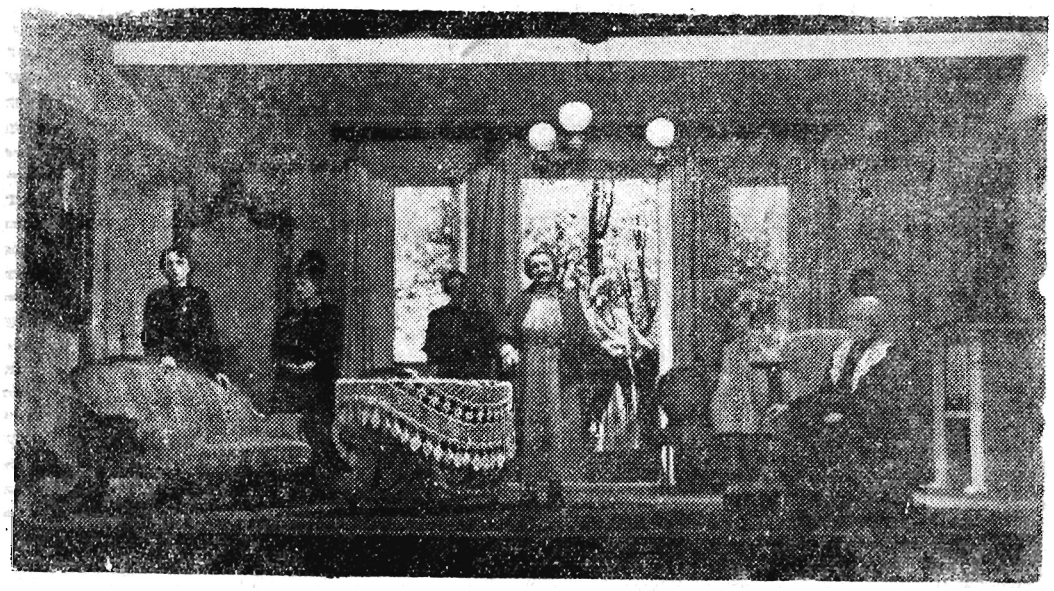

„Dom kobiet" — Zofii Nałkowskiej Reżyseria — Karol Borowski. Scenografia — Zdzisław Koreleski Akt III. Scena zbiorowa.

Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej. Reżyseria Karola Borowskiego. Obsada ról: Maria Sieniawska, Helena Puchniewska, Janina Miłkowska — Zabielska, Janina Majewska, Janina Orsza-Łukasiewicz, Zofia Gorczyńska, Irena Łęcka, Maria Zakrzewska Scenografia: Zdzisław Koreleski.

Autorka „Granicy" znana jest na ogół społeczeństwu głównie jako świetna powieściopisarka, o wiele mniej znana jest Nałkowska — twórczyni trzech dramatów. Najlepszą ze sztuk scenicznych Zofii Nałkowskiej wystawił ostatnio zespół Państw. Teatru Ziemi Rzeszowskiej.

Namiętna pasja poszukiwania prawdy o człowieku łączy tę sztukę z całą twórczością Nałkowskiej. Ciekawa i złożona treść „Domu Kobiet" podporządkowana jest tej naczelnej idei. Refleksje pisarki o samotności człowieka, o ślepych torach miłości dwojga płci, o tragicznych konfliktach ludzkich nie przeszkadzają panowaniu nad całokształtem dzieła scenicznego Nałkowskiej, humanistycznej afirmacji życia. Wyraża się ona najsilniej w słowach babki, skierowanych do Joanny: „Słuchaj, gdy życie jest dla nas dobrem, gdy jest nieustającym szczęściem — a znowu później cierpimy tak, że chcemy umrzeć, to przecie tym samym doznajemy życia". (Szkoda, że sprawny zresztą, ukracający pewne przepsychologizowania, ołówek reżysera skreślił i to piękne zdanie).

Umiejętność przeżywania życia z tym, co w nim dobre i co złe — to jeden z najważniejszych problemów sztuki. Stąd najwięcej zrozumienia i sympatii widza budzą postaci kobiet posiadających umiejętność przeżywania życia, umiejętność ludzkiego ustosunkowania się do cierpienia. Droga do zdobycia tej wielkiej wiedzy — trudna i zawiła, zdobywa się ją latami zmagań i szamotań ze sobą i światem. Pogodzone z życiem są w sztuce kobiety najstarsze, babka, Julia i Maria.

One wyszły z ciasnego kręgu egotyzmu, żyją życiem swych córek i wnuczek, współuczestniczą w ich cierpieniach i godzą je z życiem.

W ujęciu reżyserskim ukazano bogactwo pokładów myślowych i emocjonalnych sztuki. Poprzez trafne ustawienie postaci kobiet jasno i bezbłędnie tłumaczy się wizdowi sens rozważań i refleksji autorki, z których zbudowana jest sztuka.

Uchwycony został klimat i atmosfera czasów pozornie bliskich, a tak odległych.

Postaci kobiet mocno zarysowane, każda z nich reprezentuje odrębną indywidualność. Każda z odtwórczyń poszczególnych ról ukazuje pewien charakterystyczny swoisty typ.

Babka — Marii Sieniawskiej urzeka dostojeństwem mądrej, wszystko wiedzącej i rozumiejącej starości. Z tej mądrości życiowej wypływa wewnętrzny spokój, jakim promieniuje postać babki w ujęciu aktorki. Nie jest to jednak spokój osoby izolującej się od życia. Celina Bełska — Sieniawskiej przeżywa na swój specyficzny sposób, przeżywa w skupieniu, wsłuchując się w przeszłość i teraźniejszość.

Julia — Heleny Puchniewskiej jest postacią tak ujmującą, wnosi do sztuki tyle akcentów ciepła i dyskretnego humoru, że widz łatwo rozgrzesza ją z samolubnego roztkliwiania się nad swymi realnymi i urojonymi dolegliwościami.

Maria Łanowa (Janina Miłkowska-Zabielska) jest cichą, pełną rezygnacji kobietą, przytłoczoną długim życiem u boku niekochanego człowieka i tragedią swych córek.

Od lewej: Róża Byleńska— Gorczyńska Zofia, Julia Czerwińska — Puchniewska Helena.

Joanna — Janiny Orsza-Łukasiewicz stanowi piękną kreację aktorską. Podziwiać należy oszczędność środków artystycznych tej aktorki, umiar w ich używaniu, poddaną świadomej dyscyplinie rezygnację z wszelkich błyskotliwych efektów z łatwiejszych chwytów. Janina Orsza-Łukasiewicz mówi pięknie, słucha jeszcze piękniej. Rozmowa Joanny z Ewą Łasztówną to aktorski popis słuchania, wchłaniania i przeżywania słów partnera.

Tekla Bełska — Janina Majewska — ciekawa w typie może nieco zbyt mocno zarysowana, zbyt silnie odcina się od reszty otoczenia — jej gorycz w ujęciu aktorki jest może zbyt bliska nienawiści. Tekla w ujęciu Nałkowskiej nie jest chyba kobietą złą.

Ciekawie ukazała rozwódkę Różę Byleńską — Zofia Gorczyńska. Aktorka stworzyła typ cieplarnianej, rozkapryszonej, mimo przeżywanej głęboko tragedii — pełnej uroku i wdzięku kobiety.

Ewa Łasztówna — Ireny Łęckiej — zagrała interesująco, szczególnie w momencie burzliwego wkroczenia w atmosferę cichej tragedii domu kobiet. (Obecnie zastępczo rolę tę gra Hanna Tomczykiewicz).

Epizodyczną postać służącej Zofii chciałoby się ujrzeć w realizacji bardziej zaawansowanej wiekiem i dojrzałością artystyczną aktorki. Postać ta bowiem aczkolwiek epizodyczna, odgrywa niepoślednią rolę w sztuce. W kreacji aktorskiej pragnęlibyśmy ujrzeć wyraźniej stosunek służącej Zofii do dziejących się w domu kobiet spraw. Zofia bowiem to człowiek pracy. Nie wiemy, czy i ona nie przeżywała cierpień miłosnych, jeśli zaś przeżywała, to na pewno inaczej niż jej panie. Leczyła ból duszy i serca pracą, która wypełniała jej życie.

Może sąd Zofii o sprawach chorych od cierpień i tragedii miłości kobiet pokrywałby się z naszym sądem? Z sądem kobiety dzisiejszej, dla której miłość nie jest jedynym elementem jej życia. Może Zofia wtedy umiała spojrzeć na te sprawy z tej perspektywy, z jakiej patrzymy na nie dziś?

Może... ale dość refleksji. Trzeba zakończyć rozważania nad sztuką ostatecznym stwierdzeniem, że ukazano nam ciekawą pozycję repertuarową i pokazano rzetelną pracę.

My w sprawie repertuaru

(Głos w dyskusji)

Bardzo dobrze się stało, że aktor Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej ob. Tadeusz Sobolewicz poruszył w artykule dyskusyjnym zagadnienie działalności zespołów teatralnych. Uważamy, że dyskutantów będzie wielu, bo sprawa ważna.

CO NALEŻY GRAĆ?

Autor artykułu „Ligeza czy Mazepa" stawia sprawę jasno. Tylko teatr zawodowy może i powinien wystawiać sztuki o wielkiej wartości ideologicznej i poziomie artystycznym. Ruch amatorski natomiast — z małymi wyjątkami — podrzędny gatunek twórczości literackiej.

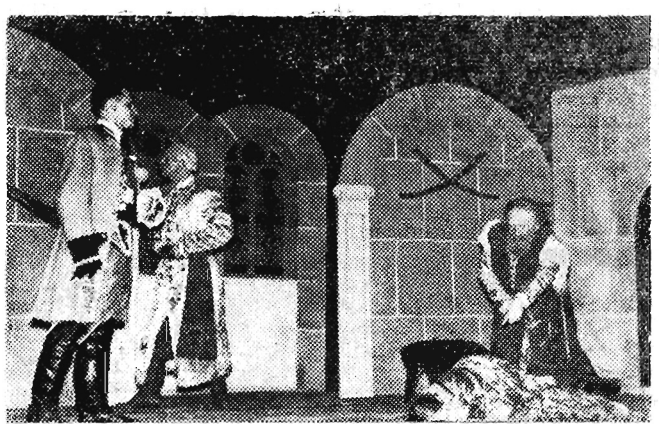

„Mazepa" — J. Słowackiego w wykonaniu zespołu WSK Rzeszów. Reż. ob. Buczkowski.

CZY TO SŁUSZNE? — PODYSKUTUJEMY.

Istotną bolączką ruchu amatorskiego jest wciąż wybór odpowiedniego repertuaru. Poziom i warunki pracy poszczególnych zespołów amatorskich, są bardzo różne. Potrzebny jest więc repertuar, który by zawierał pozycje zaspokajające ambicje czołowych doświadczonych zespołów, a obok tego pozycje dostępne dla zespołów nie posiadających jeszcze dostatecznych doświadczeń, ani odpowiedniej pomocy fachowej.

Nie o „mały" czy „wielki" repertuar chodzi. Każda pozycja repertuarowa dostarczona ruchowi amatorskiemu powinna być wielka w sensie wartości ideologicznej i poziomu artystycznego.

Bogato rozwinięta również powinna być różnorodność. A pod tym względem mimo postępów, jesteśmy jeszcze dość ubodzy. Nasze ośrodki wydawnictw repertuarowych bądź wydają w dużych stosunkowo nakładach tylko sa me pełno-spektaklowe sztuki, przeznaczone dla najbardziej dojrzałych zespołów, bądź też wpadają w drugą skrajność — koncentrując wydawnictwa wokół tzw. łatwych pozycji dla najsłabszych zespołów.

Cechą bodajże każdego zespołu była wielka ambicja. Ruch amatorski rozumie swoje zadania. Wciąga w orbitę życia kulturalnego coraz szersze masy, ułatwia wyzwalanie zdolności twórczych, budzi aktywność kulturalną i społeczną mas.

My działacze amatorskiego ruchu rozumiemy także konieczność ścisłego zespolenia naszej pracy z zawodowymi ośrodkami sztuki. „Rozumiemy" — to może mało, po prostu bijemy się o tę współpracę.

Opisane przez ob. Sobolewicza „zjawisko" niewykorzystania inicjatywy udzielania nam pomocy przez aktora PTZRz. jest raczej usprawiedliwieniem istniejącego na papierkach „Patronatu".. Kierownictwo Domu Kultury WSK, instruktor zespołów teatralnych oraz przedstawiciel Rady Zakładowej, kilkakrotnie chodzili do naszego teatru i prosili o pomoc, ale cóż — teatr nie miał nigdy „możliwości". Wprawdzie przyszedł na próbę sztuki „Ludzie z naszej ulicy" aktor PTZRz. ob. Marian Koc — popatrzył, pochwalił i poszedł.

Przy takim stanie rzeczy, po pomoc pojechaliśmy aż do Kalisza i tam bez „Patronatu" spotkaliśmy się z wielką życzliwością i pomocą. Zresztą o pomocy PTZRz dla zespołów amatorskich, na pewno wypowiedzą się inni. Znamy fakty z codziennego życia ukoronowane stanowiskiem PTZRz w czasie ostatnio przeprowadzonych eliminacji.

Udział w jury zawodowego aktora czy reżysera, stał się w Rzeszowie stanowczo „nieosiągalny". Została tylko poradnia z sennymi uwagami i radami „radźcie sobie sami".

„Ligęza czy Mazepa"? — raczej „Mazepa".

Chcemy obok sztuk współczesnych jak „Ludzie z naszej ulicy" i innych, jakie wystawiały nasze i inne zespoły, grać nie „wierszowane", a wartościowe i wybitne dzieła dramatyczne. Chcemy pracować dla — obranego celu — podnosić poziom artystyczny, zespołów i wychowywać widza — w czym mamy już poważne osiągnięcia.

Zgadzamy się z ob. Sobolewiczem, że wystawienie „Ligęzy" przez PTZRz — było chyba poważnym nieporozumieniem. Pomijając nawet wartość samej sztuki, to ustawienie dobrych aktorów zawodowych obok przypadkowych statystów (szkoda, że przynajmniej nie członków amatorskich zespołów) było chyba największym błędem.

Jak więc pracować?

Dołóżmy starań — by amatorskie zespoły artystyczne, przy naprawdę szczerej pomocy teatrów zawodowych, stały się instrumentem wychowania szerokich mas i zmobilizowały je do walki o wykonanie naszych zadań budownictwa socjalistycznego i walki o pokój.

Za kolektyw amatorskich zespołów ZDK — WSK w Rzeszowie
Henryk Głowacki

Jan Grygiel

DZIEJÓW OŚWIATY w dawnej Galicji

Zainteresowani historią szkolnictwa i wychowania wiedzą, że stan oświaty ludowej na obszarze byłych ziem galicyjskich był katastrofalny. Dopiero jednak zapoznanie się z materiałami źródłowymi dotyczącymi tego zagadnienia daje pełny obraz sytuacji.

— *„Państwo nie może pragnąć, aby w dzieci wieśniaków wpajano skłonności do uczoności, bo społeczeństwo potrzebuje wielu czynnych rąk, a niewielu uczonych. Niech wyrastają na zręczniejszych, bieglejszych i skrzętniejszych rękodzielców, na roztropnych, pobożnych i zadowolonych chrześcijan, a wreszcie wdzięcznych, wiernych i przychylnych poddanych monarchy".*

— takimi słowami określił cele szkoły ludowej przedstawiciel austriackich władz szkolnych na początku XIX w. w Krakowie.

W konsekwencji takiego stanu rzeczy w roku 1900 w Galicji 41,3 proc. dzieci w wieku szkolnym znajdowało się poza obrębem nauczania, a 56,58 proc. całej ludności było analfabetami.

Te suche, cyfrowe dane same w sobie stanowią materiał do niewesołych refleksji o spuściźnie przeszłości. Dopiero jednak z autentycznych pamiętników ludzi tamtej epoki wyłania się tragiczny obraz „oświaty dla ludu". Zaiste ta „szkolna mizeria" przetrwała XVII-wiecznych bakałarzy podgórskich, którzy w swych utworach tak gorzko się nad nią żalili i niepodzielnie króluje w dwa wieki później na tym samym obszarze. Taki bogaty i różnorodny materiał pamiętnikarski zgromadziła ciekawa i bardzo pożyteczna publikacja pt. **„Galicyjskie wspomnienia szkolne"**, która ukazała się ostatnio nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Ta sama antologia pamiętników szkolnych obejmuje chronologicznie 3 okresy XIX-wiecznej historii Galicji, tj. okres przedkonstytucyjny — Rzeczpospolitą Krakowską i erę autonomiczną, a ilościowo — 24 wypowiedzi pamiętnikarskie od Kazimierza Brodzińskiego poety i uczonego.

W wędrówce za wiedzą

Widzimy w nich, zwłaszcza pamiętnikarzy pochodzenia chłopskiego, mozolną drogę poprzez nędzę i głód do wiedzy. Jeden z autorów pamiętników Andrzej Józefczyk, zasłużony pedagog galicyjski pisze o sobie.

— *„Nad Wisłokiem, w tarnobrzeskim cyrkule leży miasteczko Pilzno, miejsce rodzinne moje... W szkole pierwsze rozpocząłem nauki, zdaje mi się mając lat 5. Wiele sobie nie przypominam, tyle tylko wiem, że nauczyciel groźny jak Jowisz, z batem brzozowym skrzypiastym lub z bulawą wierzbową zawsze się przechadzał, a żaczęta biedne, jak drobne zwierzęta na ryk lwa, tak na głos podniesiony do zimnej tuliły się ławy".*

Po dwóch latach nauki w Pilźnie przenosi się Józefczyk do Brzostka, a później rodzice wysyłają go do Jasła.

Po szkole jasielskiej czeka Józefczyka dalsza wędrówka — do tarnowskiego gimnazjum. W zakładzie tym zdany na własne siły o głodzie — wychowuje się w atmosferze wrogości do wszystkiego co ojczyste.

W Rozwadowie i gimnazjum rzeszowskim

Mieszkańców Rzeszowa, którym nie są obce tradycje szkolne ich miasta, zainteresuje niewątpliwie pamiętnik Ludwika Powidaja utalentowanego i aktywnego literata i dziennikarza w II połowie XIX w. Pamiętnik ten wyróżnia się błyskotliwością narracji i dowcipem, ale góruje w nim materiał anegdotyczny, a brak wnikliwego, syntetycznego spojrzenia i obiektywnej oceny ówczesnego szkolnictwa. — Powidaj tak pisze o nauczycielu z Rozwadowa Karmazynie:

— *„Pamiętam że p. profesor ustawicznie coś pisał lub nogę na nogę zakładał i wpatrywał się w sufit całymi godzinami. W szkole musiało być wtenczas jakby makiem siał, a kto odważył się ciszę tę przerwać, bywał ogromnie oćwiczonym".*

Dosyć powiedzieć, że niejeden zemdlał pod rózgą.

Tę samą pedagogikę kija stosowali nauczyciele szkoły normalnej w Rzeszowie.

W gimnazjum rzeszowskim dokąd przeszedł następnie Powidaj niewiele się zmieniło. Moim profesorem przez pierwsze 4 lata był Karol Niemeczek — wspomina.

„Przez 4 lata nie uczyliśmy się zgoła nic, pan profesor myślał tylko o tym jakby najpóźniej przyjść do szkoły a rozpuścić jak najwcześniej. W klasie będąc bujał sobie myślą po szerokim bożym świecie, nie wiedząc bynajmniej co się około niego dzieje. Nic dziwnego, że po tak pracowicie spędzanych dniach nauki, nauczyciel po 4 latach prowadzenia tej samej klasy nie wiedział zupełnie co uczniowie umieli. Przy egzaminie profesor nie klasyfikował z tego, co który uczeń umiał, ale z tego co by mógł był umieć, gdyby i profesor i uczeń byli trochę pilniejsi".

Powidaj nie wychodzi poza anegdotyczne wspominki — nie próbuje szukać przyczyn takiej obsady pedagogicznej szkół, do których uczęszczał. Nie widać tego zresztą i u innych pamiętnikarzy, mimo że wielu z nich ukazuje swoich wychowawców jako wykolejeńców, rozbitków życiowych, mszczących się na młodzieży za swój zwichnięty los.

Szkoda, że ta cenna i ciekawa książka ukazała się w tak małym nakładzie (3 000 egz.). Powinna ona znaleźć się w rękach naszej młodzieży mieszkającej w wygodnych i czystych internatach i domach akademickich otoczonych najtroskliwszą opieką pedagogiczną i korzystającej z wszechstronnej pomocy państwa ludowego.

SPRAWA Samuela Bolestraszyckiego

W dziejach naszych walk o wolność myśli i słowa, walka o tolerancję zajmuje dość poczesne miejsce. Największe jej natężenie przypada na okres kontrreformacji. Zestawmy najpierw dwie daty: w 1565 r. Hozjusz sprowadza do Polski Jezuitów. W tym mniej więcej okresie następuje wyodrębnienie radykalnej grupy arian spośród

innowierców. W 1660 r. uchwałą sejmu arianie zostają wypędzeni z kraju. Między tymi słupami granicznymi przesunęła się cała postępowa wielkość naszej reformacji, jej powolne cofanie się na pozycje wsteczne i wreszcie zmierzch.

Do dziejów tych właśnie zmagań wchodzi ciekawe zdarzenie, dziś raczej mało znane, które historycy nazywają sprawą Bolestraszyckiego. Nie była to afera na miarę procesów czarownic, jednakowoż zestawiona z innymi odcinkami tej wielokierunkowej kampanii, wykazuje jak złożone czynniki składały się na konflikty i siły historii działające poprzez poszczególne wypadki.

Początek głośnej w swoim czasie sprawy miał miejsce we Francji, tej ultrakatolickiej monarchii, rządzonej przez kardynała Richelieu. Profesor akademii w Sedanie, pastor kalwiński Piotr du Moulins oddał w 1619 r. do druku swe dzieło teologiczno-filozoficzne pt. „Heraklit lub o marności i nędzy życia ludzkiego". Rzecz zabarwiona była odcieniem lekkiego sceptycyzmu w stosunku do dogmatów religijnych, poza tym nie głosiła jednak poglądów sprzecznych z ogólnie panującymi.

Prawem powinowactwa duchowego książka zawędrowała do kalwinów polskich, gdzie wzbudziła duże zainteresowanie. Zjawiła się również w okolicach nad Sanem, dostając się do rąk Samuela Bolestraszyckiego. Gniazdo rodowe tej rodziny mieściło się w Bolestraszycach, niedaleko Przemyśla. Spośród 5 żyjących naówczas braci, 3 wyznawało kalwinizm. Należał do nich również Samuel Światopełk, mimowolny bohater całej sprawy.

Zaintrygowany treścią książki postanowił ją przetłumaczyć, co uczynił w 1627 r. i zadedykował przełożony utwór księżniczce Annie Jagiellonce. Nie przypuszczał jaką burzę wywoła swoim postępkiem. Na książkę zwrócił bowiem uwagę sekretarz królewski Achacy Grochowski, który na nieszczęście dla Bolestraszyckiego był jednocześnie biskupem przemyskim. Surowy tłumiciel wszelkiego krytycyzmu postanowił wykorzystać swą władzę duchowną i przywołać tłumacza do porządku.

W maju 1627 r. nadeszło dla Bolestraszyckiego wezwanie do stawienia się przed sąd ziemski w Przemyślu. Przebieg przewodu, który odbywał się w języku łacińskim pozwolimy sobie przytoczyć w formie pytań i odpowiedzi, zgodnie z zaprotokółowanym tekstem.

Sędzia: Oskarżony szlachcic Samuel Bolestraszycki przywłaszczył sobie samowolnie władzę drukowania książki skandalicznej niejakiego Heraklita (!), która narusza zasady wiary panującej i moralności.

Bolestraszycki: Protestuję uroczyście, już choćby z tego względu, że sąd w takim składzie i w takiej formie nie jest władny rozpatrywać mojej sprawy.

S.: Opinia przewielebnego księdza biskupa Grochowskiego winna tu być decydująca, on przecież zarządził rozprawę.

B.: Jego ekscelencja biskup Grochowski żywi do mej osoby prywatną niechęć i ona to jest przyczyną wszczęcia procesu. W książce „Heraklit" nie znajduję bowiem nigdzie jakich założeń przeciwnych ogólnie uznanym.

Sąd naradza się chwilę, po czym ogłasza wyrok: 6 miesięcy wieży in fundo (na dnie) w zamku przemyskim oraz opłacenie kosztów sądowych. W razie nieprzystąpienia do odbywania kary, oskarżony skazany zostaje na banicję. Od wyroku powyższego przysługuje apelacja do sądu cywilno-duchownego w Lublinie.

Oczywiście, Bolestraszycki skorzystał z szansy zmiany wyroku, zawiódł się jednak srodze żywiąc jakieś nadzieje. Wpływy sekretarza królewskiego sięgały tak daleko, że i w Lublinie zapadł wyrok skazujący. Co więcej do motywów wyroku dodano specjalne ostrzeżenie tej treści:

„Wszyscy ci, którzy by tę bluźnierczą książkę drukowali, u siebie przechowywali, sprzedawać ją lub głośno o niej mówić ważyli się, będą najsurowszymi prześladowani karami, a mianowicie szlachta karą banicji, plebejusze zaś gardłem i konfiskatą dóbr".

Właśnie ten niezmiernie surowy dekret stał się językiem uwagi, który wzbudził powszechne oburzenie.

Niezależnie od tego zarządzono wycofanie książki z obiegu, a jeden z nielicznych egzemplarzy został spalony przez kata na rynku pod szubienicą. Gdzie odbył się ten średniowieczny obrzęd, dokładnie nie wiadomo. Według Władysława Łozińskiego działo się to w Przemyślu, Krausharr twierdzi, że w Lublinie. W każdym razie dziś nawet największe biblioteki nie mogą się poszczycić posiadaniem tego „białego kruka".

Zdawałoby się, że wyrok jest ostatecznym przypieczętowaniem sprawy. Tej klęsce pisarza na forum publicznym wtórowały niepowodzenia osobiste. W łonie rodziny Bolestraszyckich doszło bowiem do powikłań, które śmiało mogłyby posłużyć za kanwę powieści historyczno-awanturniczej.

Oto rozgorzał między braćmi zaciekły spór na tle opieki nad trzema bratanicami: Elżbietą, Zofią i Felicjaną, Piotr, podczaszy przemyski wyznający katolicyzm nie chciał uznać wyznaczonego testamentu opiekuna Krzysztofa — innowiercę. Najechał więc zbrojnie Bolestraszyce, zagarniając majątek i dziewczęta. Gwałt ten nie pozostał

jednakowoż bez echa, gdyż bracia — kalwini zorganizowali wyprawę odwetową.

Epilog zatargu rozegrał się znów przed trybunałem. Tu Piotr usprawiedliwiając swe postępowanie wznowił sprawę „Heraklita", udowadniając, że Samuel nie odsiedział w swoim czasie kary wieży. Zeznaniami tymi Piotr osiągnął dla brata dodatkowy dekret, tym razem infamii (zniesławienia).

Ale sprawa stała się zbyt głośna wśród szerokich rzesz szlacheckich. Wzbudziła ona obrazy nawet u wysokich dostojników państwowych. Szczególnie niepokojąco pod tym względem przedstawiał się tekst dekretu trybunału lubelskiego. Widziano w nim

zamach na dawne przywileje, targnięcie się na prerogatywy prawodawcze sejmu. Wrzawa wokół Bolestraszyckiego rosła, a charakterystycznym przykładem może być list Rafała Leszczyńskiego, pradziada przyszłego króla do księcia Jerzego Zbaraskiego.

W piśmie swym, autor — wojewoda bełzki pisał m.in.: *„Czym ja zgłupiał, że formam Rei Publicae nostrae (kształtu Rzeczypospolitej) nie pojmuję, czy jaka część Rzplitej wypada z granic swoich i więcej sobie uzurpuje niż według praw wolno?*

W odpowiedzi, napisanej stylem bardzo makaronicznym książę przyznawał rację korespondentowi i wyrażał aprobatę twierdzeń Leszczyńskiego.

Ujął się też po stronie pokrzywdzonego znany publicysta z czasów Zygmunta III — Jędrzej Moskorzewski. W jednym ze swych wystąpień powiedział on:

„Wolność że to, czy najtwardsza niewola? Aleć od wszystkich wieków, jako pismа nastały, wolno było pisać każdemu co rozumiał".

Aferę zaliczał Moskorzewski do gatunku tych, które narodziły się z ducha inkwizycji hiszpańskiej.

Wreszcie w obronie Bolestraszyckiego przemówili dysydenci, wysyłając na sejm w 1627 r. specjalną suplikę. Dokument ten poparła również szlachta katolicka. Na skutek nacisku opinii publicznej w 1632 r. całą sprawę wymazano z akt, a oskarżenie ciążące na Bolestraszyckim przestało istnieć. Ale na tym nie skończyły się cierpienia tłumacza. Długo jeszcze musiał on „słowem i piórem" przeciwstawiać się próbom wznowienia sprawy, próbom wychodzącym ze strony jego katolickich braci.

Biskup Grochowski — inicjator procesu — umarł niedługo potem, jak mówiono ze zgryzoty gorzko przeżywszy fiasko swych poczynań.

Dlaczego sprawa Bolestraszyckiego przybrała w końcu taki właśnie obrót? Jasne jest, że w grę nie wchodziły względy sprawiedliwości, ani tym bardziej solidarności szlacheckiej. Samuel Bolestraszycki zwyciężył, bo jego krzywda stała się sygnałem alarmowym dla zagrożonych przywilejów warstwy magnacko-szlacheckiej. Przecież precedens zastosowany wobec publikacji książek szybko mógłby objąć inne dziedziny.

W takim obrocie rzeczy nikt absolutnie nie był zainteresowany i temu to właśnie zawdzięczał Samuel moc ne poparcie wielu ludzi. Ostatecznie postawił na swoim: kary nie odsiedział, kosztów sądowych też nie spłacił. Ale do tłumaczeń podejrzanych książek więcej się nie zabierał. Bo jak mówi przysłowie: kto się raz popiekł, ten dmucha na zimne.

I. J.

Na 50-lecie urodzin

Szołochow

Dnia 24 bm. M. Szołochow obchodził 50-lecie urodzin.

Jest ulubionym pisarzem milionów. W Związku Radzieckim doczekał się 418 wydań. W Polsce, gdzie tłumaczono go przed wojną, przeżywa obecnie drugą młodość — o ileż wspanialszą. O wysokości jego nakładów decyduje dziś nie chłonność rynku — tej nie zdołano wysondować — lecz niestety limit papieru.

Czemu przypisać tę poczytność? Odpowiedź niełatwa. Czy poezji opisów przyrody, godnej pióra Gogola? Cichy majestat Donu, lazurowy stop pokryty niskim niebem, usiany kurhanami, okolony pierścieniem gór, wśród których huczą strumienie, ziejąc przepaście — urzeka nas ten koncert barw, głosów, zapachów, ten daleki świat, w którym dzieją się sprawy tak nam bliskie.

A może źródeł sukcesu szukać należy w postaciach mieszkańców tego świata? Szołochow — malarz charakterów — wyczarował barwny tłum żywych ludzi, psychologicznie prawdziwych i w każdym z nich uwypuklił jego niepowtarzalną inność, jego proste, ludzkie piękno. W pamięci naszej utrwala się tragiczna postać zbłąkanego poszukiwacza prawdy, Grigoria Melechowa, i oblicze duchowe Aksinii — czystość jej kobiecej miłości, siła charakteru i duma Kozaczki, ale też i ograniczoność, ciasnota horyzontów. I chłopska matka, Wasylissa Iljiniszna — obok Niłowny z powieści Gorkiego najpiękniejsza postać matki w literaturze — prosta, surowa i mężna, o rękach stwardniałych od pracy, z zatroskaną twarzą pokrytą siecią zmarszczek, z wspaniałym obrazowym językiem ludowym. I piękne postacie ludzi wielkiej idei — komunistów. Ale też i arcypocieszny staruch, dziad Szczukar ze „Zoranego ugoru", postać, która pod względem popularności mogłaby chyba konkurować z Sienkiewiczowskim Zagłobą.

Wartość artystyczna nie jest jednak jednym źródłem sukcesu pisarza. Wiąże się ona nierozerwalnie z wartością poznawczą. Marks pisał, że lektura Balzaka powiedziała mu więcej o dziejach francuskiej burżuazji, niż tomy dzieł historycznych. Podobnie jest z wielkimi realistami rosyjskimi. Jakiż rozległy obraz artystyczny rosyjskiego społeczeństwa z okresu wojny 1812 roku stanowi epopeja Tołstoja. Podobnie w sprawach naddońskiego chutoru znajduje odbicie ogrom rewolucyjnych przemian w Rosji okresu stawania się socjalizmu, proces narodzin nowej świadomości i kształtowania się nowego człowieka.

Tołstoj i Szołochow... Wolno te nazwiska wymawiać jednym tchem, już choćby dlatego, że są to dwa ogniwa w łańcuchu tradycji literatury walczącej o szczęście człowieka. Dzisiejszy spadkobierca tej tradycji — Szołochow ma dla nas wartość szczególną. To, co określamy zwykle pojęciem klasyki, zakłada pewien historyczny dystans, należy do zamkniętego rozdziału dziejów. A klasyk literatury radzieckiej, Szołochow, omawia sprawy naszego dnia dzisiejszego, analizuje dziś jeszcze przebiegające procesy przemian, uzbraja nas w doświadczenia budownictwa socjalizmu na wsi. Oto dlaczego w wiejskich kołach czytelniczych budzą jego dzieła tak żarliwe dyskusje. Polski chłop — spółdzielca czy rolnik indywidualny — odnajduje w nich własne myśli i dążenia, czyta odpowiedź na swoje wątpliwości. I lepiej widzi swój cel.

Szołochow jest piewcą jednego tematu. Oba jego wielkie dzieła epickie tworzą cykl, który można by objąć wspólnym tytułem „Kozaczyzną w rewolucji". Zagadnienie to jest niezmiernie skomplikowane: w marszu zwycięskiej Rewolucji Październikowej najtrudniejszym odcinkiem były właśnie ziemie kozackie. Bohaterowie „Cichego Donu" — to potomkowie dzielnych zbiegów, co nie chcieli ugiąć karku przed panami feudalnymi, związali się z wolnymi rzekami — Dnieprem, Donem i Jaikiem.

Akcja powieści „Zorany ugór" toczy się w kilkanaście lat po zwycięstwie władzy radzieckiej. Jest „rok wielkiego przełomu" — okres kolektywizacji rolnictwa i zlikwidowania kapitalizmu na wsi. Szołochow rozpatruje, w warunkach nowego układu sił klasowych, proces walki z siłami odśrodkowymi w narodzie, porusza ten sam, co w poprzedniej powieści, problem stosunku jednostki do narodu.

Z trudem, w zaciekłej walce ze starym, zwyciężało nowe życie. Ale nie lękają się trudności ludzie, którzy nierozerwalnie związali swe losy z losami narodu, ludzie niezłomnej wiary w triumf sprawy partii, w siły, rozum, przyszłość narodu.

Książka opisuje jedynie początki budownictwa kołchozowego nad Donem. Jaki będzie ciąg dalszy? Dowiemy się o tym wkrótce. Pisarz, który przeżywa obecnie nowy przypływ sił twórczych, ukończył niedawno drugą część „Zoranego ugoru", która ukaże się niebawem na półkach księgarskich.

Daniel Trylewicz

Tadeusz Stanisz

Z warsztatu pisarskiego

W małym domku, podobnym do wielu innych, mieszka w Tarnobrzegu przy ul. Mickiewicza Stanisław Orzeł. Osiadł w tym mieście dość dawno, tu napisał dwie dotychczas wydane powieści: „Pod Łysicą" i „Kamienista droga", obie osnute na tle życia wsi w Kielecczyźnie.

Po drugiej stronie szosy błyszcząca wstęga Wisły. Właśnie nad Wisłę wybiera się Stanisław Orzeł, wiadomo po co, po prostu z wędką na ryby. Nie mówi tego wprawdzie, ale zdradza go na pierwszy rzut oka strój rybacki. Ale jako gościnny gospodarz chętnie przystaje na rozmowę — ryby przecież nie uciekną.

Widzimy się nie po raz pierwszy, więc rozmowa nawiązuje się łatwo — oczywiście o książkach już napisanych, no i o dalszych planach pisarskich.

„Nie sądziłem — mówi pisarz — że obie moje powieści wywołają w moich rodzinnych stronach, szczególnie rodzinnej wiosce tak silne zainteresowanie. Wyraża się to w różny sposób, między innymi i tak, że niektórzy ludzie zaczynają się dopatrywać siebie lub znajomych w poszczególnych postaciach powieściowych. A przecież nie wszyscy bohaterowie są aniołami, na to nic nie poradzę".

— A czy są jeszcze jakieś dalsze echa tych powieści? — pytam.

— Popularyzowano je w radiu łódzkim. Chodziło zwłaszcza o fragmenty z opisem polowania z książki „Nad Łysicą" — odpowiada Orzeł. Znane mi są recenzje z radia rzeszowskiego i z „Nowin Rzeszowskich".

— Ale od wydania „Kamienistej drogi" upłynął już rok. Sądzę, że w tym okresie znalazł się czas na napisanie trzeciej powieści. Rok — to dla pisarza bardzo dużo — przechodzę do innego tematu.

— Owszem, już ukończyłem w kwietniu nową powieść i oddałem ją do recenzji, jeszcze nie do druku, bo do tego jeszcze dość daleko. Trzeba będzie jeszcze niejedno uzupełnić, poprawić. Co prawda, mam już taki zwyczaj, że trudno mi poprawiać to, co jest już raz napisane. Raczej wolę napisać na nowo, niż pracować nad tekstem raz już napisanym — zwierza się szczerze pisarz.

— A można uchylić rąbka tajemnicy: jaka będzie tym razem tematyka książki?

— Oczywiście — to żadna tajemnica. Chciałbym pokazać szkołę średnią, ogólnokształcącą, której, gimnazjum przedwojenne w latach 1927—31, obraz to wcale nie sielankowy, raczej krytyczny, nawet mocno krytyczny.

— Oczywiście pytam — będzie tam zapewne wiele własnych wspomnień i przeżyć, i znowu Kielecczyzna?

— Naturalnie, jakżeby mogło być inaczej, chodziłem przecież do gimnazjum w jednym z miast w województwie kieleckim.

— A tytuł?

— Tymczasowy tytuł przypomina jakąś sensacyjną książkę o Indianach: „Szpony Jastrzębia".

— A jak długo trwało pisanie tej szkolnej powieści o tak atrakcyjnym tytule?

— Cały rok, od wczesnej wiosny 1954 do kwietnia 1955 r., oczywiście z dużą przerwą letnią; w lecie nic nie piszę.

— A można zapytać o jakiej porze najlepiej się pisze? Bo różnie z tym bywa u pisarzy, każdy ma swoje przyzwyczajenia.

— Piszę przeważnie w nocy — odpowiada Orzeł, nie odczuwam z tego powodu specjalnego zmęczenia. W czasie pracy palę papierosy, czarnej kawy nie pijam. Cóż mogę jeszcze powiedzieć. Że bardzo lubię swą pracę, daje mi ona dużo zadowolenia. Źle się czuję natomiast, gdy nie pracuję nad jakimś tematem literackim.

— A czy nie odpowiadają panu krótsze formy literackie, czy od razu trzeba się rozpędzić na całą powieść? A jakieś opowiadania, nowelka, reportaż?

— Zdarzają się i takie wypadki. Np. z zamiłowania do wędkarstwa powstało parę krótkich opowiadań. Są to jednak fragmenty, które trzeba wykończyć, na razie są w stanie surowym. Trzeba się do tego zabrać.

— Wydaje mi się, że na to czekają liczni amatorzy sportu wędkarskiego, którzy powitają z uznaniem swoją tematykę w literackim ujęciu. Trzeba spłacić dług wobec kolegów wędkarzy.

W trakcie rozmowy wpada młodociany goniec i zaprasza pisarza na posiedzenie do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w sprawie „Dni Oświaty Książki i Prasy". Stanisław Orzeł jest przecież przewodniczącym Komisji Oświaty i Kultury.

— No więc, należałoby się spodziewać, że książka o szkole ukaże się w druku gdzieś na jesieni. Będzie ją można wtedy porównać z paru innymi powieściami, jakie się niedawno ukazały na temat szkoły przedwojennej,: a mianowicie „Leśne doły" — Tropaczyńskiej-Ogarkowej, „Wczorajsza młodzież", Jackiewiczowej i „Pamiętnik przyjaciół" Piwowarczyka.

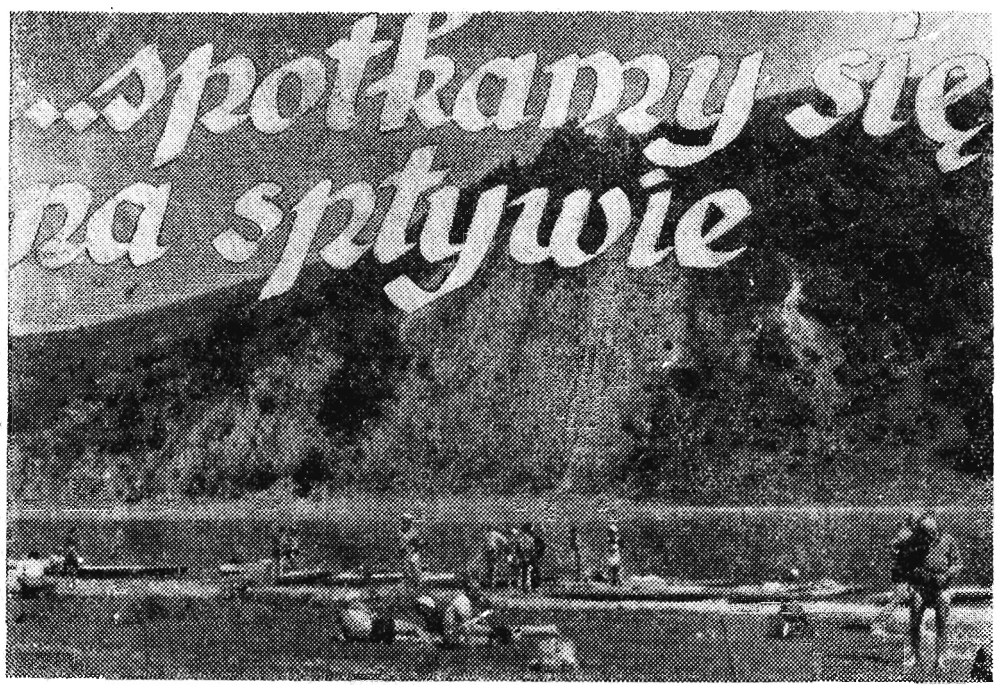

Czasami narzekamy na nudę. Wówczas pytanie — co robić z wolnym czasem, gdzie iść — urasta do problemu, przytłacza i wprawia człowieka w wisielczy humor. Dobrze jeszcze jeśli jest pogoda. Można ostatecznie powałęsać się po ulicach. Lecz czy to coś daje? Jest wiosna. Niedługo nadejdzie lato, a wraz z nim tzw. sezon urlopowy. Dwa tygodnie, czy cały miesiąc. Coś trzeba zrobić z sobą. Ale co?... tym — bardziej, gdy na wczasach np. już się było.

Niechaj jednak nie przeraża nikogo ten pesymizm — bowiem jest — jest odpowiedź na to pytanie. Wystarczy tylko zajrzeć do kalendarza. Nie, nie ściennego. Kalendarz o którym myślę nosi tytuł — „Turystyczno-Krajoznawczy".

A zatem zasiądźmy wszyscy do okrągłego stołu i rozpocznijmy bojową naradę. O już jest coś, co na pewno wszystkich zainteresuje. **Spływ wodami Polski do Granicy Pokoju.** Bo właśnie tu otwiera się przed nami niecodzienna perspektywa — 14 dni kajakiem po wartkich nurtach jednej z rzek — Sanu, Dunajca, Wisły, Pilicy, Narwi, Warty, Noteci, Odry, po labiryncie Mazurskich i Augustowskich jezior Wigrami, Nidzkim, Krutynią, Pisą.

Gigantyczna i piękna to będzie impreza. Zawierzcie mi. Nie bujam wcale.

* * *

Kto raz już spróbował wodniackiej włóczęgi wie ile radości, emocji i wrażeń potrafi ona dostarczyć. Pamiętam dokładnie, majowy spływ kajakowy PTTK na Sanie. Pozwólcie, że przytoczę skrawek wspomnień jednego dnia.

Wstawał blady poranek. Znad rzeki wyrastały mleczno-białe opary i wiejąc chłodem unosiły się coraz wyżej i dalej. Rozścielały się na łąki, wspinały na urwiste brzegi.... Spod płachty namiotu wyłoniła się czyjaś rozczochrana głowa. Zaspane oczy ciekawie spenetrowały rzekę, zatrzymały się przez chwilę na niebieskich bruchach leżących na brzegu kajaków — i za chwilę cała postać wyskoczyła z namiotu biegnąc z donośnym okrzykiem — wstawać ferajna — prosto w rzekę. W brezentowym „miasteczku" zawrzało. A zaczęło się właściwie od rzęsistego śmiechu. Krystynę ugryzł w nocy komar — i to psiajucha, akurat wybrał sobie powiekę. Stała z komicznie wykrzywioną twarzą nie mogąc się w pierwszej chwili zorientować dlaczego nie może otworzyć drugiego oka.

W charakterze komfortowego umywalni wystąpił rzecz jasna. San. Nikt więc nie narzekał na brak miejsca lub stanie w kolejce. Ba, nawet Staszek nie zaciął się ani razu podczas golenia mimo że zapomniane w domu lusterko zastępywała mu zmarszczona tafla wody — chociaż jak zapewniał, w domu przy rodzinnym lustrze zacinał się zawsze. Aniu się spostrzegł, jak zapaliły się pierwsze ogniska. Jedni przygotowywali śniadanie „po cygańsku" w kociołkach, inni — bardziej nowocześni turyści uruchomili spirytusowe kochery.

Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę. Otwierała się przed nami nowa, pełna niespodzianek wstęga Sanu. Nie wiedzieliśmy co będzie za zakrętem. Chociaż nie — przepraszam — wiedzieliśmy. Będzie równie pięknie jak i tutaj, a może nawet jeszcze cudowniej. Miarowo zanurzały się pióra wioseł w srebrzystej toni, opaloną na brąz skóre pleców pieszczotliwie i coraz mocniej ogrzewało słońce. Na kartę przeżytego dnia dopisałem kolejne słowa: Takich dni więcej...

I właśnie dni takie zbliżają się miłowymi krokami. Pełen atrakcyjności spływ kajakowy **wodami Polski do Granicy Pokoju rozpocznie się już 25 czerwca.** Czy popłynę — zapytacie. Odpowiedź noszę przygotowaną już od dawna — a ściślej mówiąc, już nie noszę, bo wypełniłem karty zgłoszeniowe złożyłem onegdaj w PTTK. Popłynę! bo jakżesz można nie wziąć w tej wspaniałej imprezie udziału gdy tyle radosnych przeżyć i przygód, zdrowy wypoczynek po pracy tylko czekają by wyciągnąć po nie rękę.

Kto za spływem — za udziałem w spływie? Poddaję pod głosowanie. Głosują starzy i młodzi, kobiety, mężczyźni, chłopcy i dziewczęta. Jeden... dwa... osiem.... trzydzieści pięć... osiemdziesiąt cztery... Wszyscy? I kolega także — prawda?

No cóż, mogę chyba przystąpić do podsumowania. Starym PTTK-owskim wygom nie będę tłumaczył co znaleźć można w turystyce. Żółtodziubom zaś powiem tylko — turystyka to narkotyk, który aplikować można w nieograniczonych dawkach. A raz spróbowawszy nie można się od niej odżegnać. Turystyka to doskonała poezja przyrody, zdrowia, hartu. Zresztą przekonacie się sami. **A więc — spotykamy się na spływie. Tam spędzimy nasze urlopy najlepiej.**

Kol.

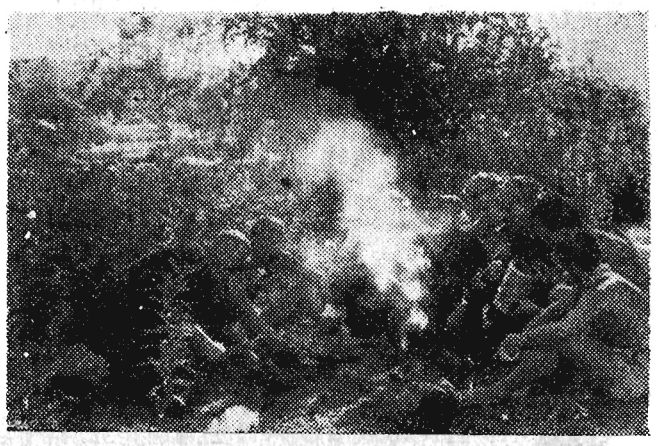

Tu przydział tam przydział

Rozwiązanie konkursu

Jak wiadomo władze, które na terenie naszego miasta zarządzają upowszechnieniem sztuki filmowej i za jedne 3,60 zł umożliwiają nam obejrzenie nie tylko „Jasnych Łanów", ale także „Ceny Strachu" czy „Dygnitarza na tratwie", w przypływie troski o widza postanowiły wybudować nowe kino w Rzeszowie, przy ul. 3 Maja. Rezultatem tego wybuchu dbałości o to abyśmy wygodnie i w licznym gronie oglądali filmy, był szeroki i uzgodniony plan.

Plan do tego stopnia szeroki, że musiano odcinać kawałek kamienicy, która sąsiadowała z parcelą budowlaną. Ale to drobnostka...

Toteż po przycięciu wspomnianego domu przystąpiono raźnie do budowy kina, jak również ogłoszono konkurs na nazwę dla tego nowego, wspaniałego obiektu kulturalno-oświatowego.

Budynek rósł jak na drożdżach. Przechodnie podziwiali mechanizację prac: na wykopie dołu pod fundamenty pracowała mechaniczna kopaczka. Po tym gdy już stanęły mury ogólny zachwyt budziła elewacja czyli wygląd zewnętrzny budynku. Oto chwalono śmiałą inwencję architekta, który sięgnął przy projektowaniu kina do wypróbowanych wzorów austriackiego, cesarsko-królewskiego budownictwa koszarowego. Twórczo przyozdobił budynek rozkosznymi wykuszami nad każdym oknem: miejscami wypoczynku dla turkawek, sipiórków, gołąbków i innych ptasząt, które będą na tych wykuszkach siadały i patrząc na przechodniów z góry na nich — prawda — śpiewały.

Jednym słowem równolegle z murami rosły serca rzeszowiaków. Jednak władze kinowe kształcone na wzorach włoskiego neorealizmu, nie mogły całej tej historii z kinem skończyć happy end em. Żaden przecież włoski film nie kończy się szczęśliwie: tu się walą schody, tam komuś kradną rower, gdzie indziej wyrodny ojciec, kapitalistyczny fabrykant ogni sztucznych wypędza córkę w jednym w— państwo wybaczą — komplecie bielizny damskiej z domu. Całe szczęście, że był akurat jarmark i można było kobietę z grubsza przyodziać. Całe szczęście, bo film byłby dla młodzieży w ogóle nie dozwolony.

Takie jest życie... i ono wycisnęło swoje piętno na losach kina przy ul. 3 Maja w Rzeszowie.

Oto do budynku, ślicznego budynku, który kierownictwo filmo-sztuki ze względów jemu tylko znanych rozreklamowało jako kino, pewnego dnia wniesiono: 358,84 kg spinaczy biurowych, 1.297 pieczątek typu K-6, 1 pieczątkę wzór 18/b, 1 powielacz szybkobieżny, wielkoformatowy, 5 kg akt ściśle tajnych, 8 kg akt tajnych i poufnych. Akta inne wożono wozami dwukonnymi przez 6 dni. Niestety nie możemy podać liczby przywiezionych biurek i stołów ponieważ, na tej podstawie można by obliczyć ilość urzędników pracujących w zarządzie kin, a to — prosze państwa — tajemnica.

Nie jest natomiast tajemnicą, że w nowo-wybudowanym budynku już się urzęduje i, że kina na razie nie będzie. Ale nie upadajmy na duchu, tym bardziej, że komisja konkursowa wybrała już nazwę kina spośród projektów nadesłanych na konkurs.

A oto parę szczegółów: pierwszej nagrody komisja postanowiła nie przyznawać. Drugą nagrodę otrzymał obywatel, który pracę konkursową opatrzył godłem „Cierpliwy" za nazwę kino „Ad acta". Trzecią nagrodę otrzymała obywatelka Melania K. ze Staroniwy za propozycję: kino „Pod pieczątkami".

Komisja z niesmakiem odrzuciła propozycję ob. L. W. z Rzeszowa, aby kino nosiło nazwę „Lipa".

M. S.

Telefon

Słucham... Tu Zrzeszenie Sportowe „Sparta"... Jak prosze?! W sprawie basenu?... To nie do nas — proszę się zwrócić do sklepu z naczyniami emaliowanymi... Że też nie ma? No to co ja na to poradzę. To wina tak zwanej dystrybucji.

... Jakie ryby? W basenie ryby? Myśmy trzymali w basenie ryby? Nie żartuj pan. My ryby trzymamy na talerzu.

... Aha to panu o ten basen chodzi... o sportowy... że nie wykończony... Nie szkodzi, Wisłok też niewykończony, a kąpać się można...

Panie, panie niech no pan uważa, ja pana mogę do sądu podać... Za co? Za to co pan powiedział... Nic pan nie powiedział? ...To ja panu przypomnę... To oszczerstwo... Tak oszczerstwo...!

Pan mnie się tu niby pytał jaka jest różnica między Wisłokiem, a naszym sportowym basenem... Chwileczkę, niech pan nie przerywa... I mówił pan, że różnica jest... Zaraz, zaraz... że i w basenie i w Wisłoku jest brudna woda, a różnica jest taka, że w Wisłoku można się kąpać za darmo, a w basenie Zrzeszenia „Sparta" za pieniądze...

Kogo chcesz pan wykańczać?!...

Aha basen... nie wiem kiedy się wykończy...

Co, że porządnej szatni nie ma? ...Dobry sobie... A w Wisłoku jak się pan kąpiesz to pan zdejmujesz portki w wiklinie i też pan jesteś zadowolony... Że woda dziwnie pachnie?! ...Ha, ha dobre sobie: za głupie 4 złote pan się może chciałeś kąpać w Suar de Pari?

Że niszczy się, bo nie wykończony... Przyjdź pan do nas to obojętnie czy pan jesteś wykończony czy nie, tu się pana zniszczy.

M. S.

Nie trudno zgadnąć

SKAKANKA

Przeskakując co pewną stałą ilość liter w prawo odczytać aktualne 5-wyrazowe rozwiązanie (z przecinkiem po drugim wyrazie). Początek do odgadnięcia.

Zagadka

Pada, a nie wstaje
Idzie, tak jak pada,
Gdy go długo nie ma,
Smuci się gromada.

Rozwiązania należy nadsyłać do 10-ciu dni pod adresem redakcji z dopiskiem „Rozrywki umysłowe". Między autorów trafnych rozwiązań zostaną rozlosowane 3 nagrody w postaci bonów książkowych.

Rozwiązanie krzyżówki z Nr 14 (260) nadesłanej przez Jana Nowaka: Poziomo — 1. tur, 3. szablon, 5. trasa, 6. notes, 8. renta, 10. dok, 12. adres, 14. kolor, 15. gacki, 17. noc, 18. kleks, 19. ameba, 21. wełna, 22. ładunek, 23. ład.

Pionowo: — 1. trawa, 2. rulon, 3. szafa, 4. nitka, 5. tonacja, 7. sardela, 8. róg, 9. kolos, 10. Don, 11. koc, 13. SOS, 16. ideał, 18. kołek, 20. łódka (wspak), 21. wanad.

Nagrody

Za trafne rozwiązanie zadań otrzymują w postaci bonów książkowych: z Nr 5 (251) — Jadwiga Molo z Rzeszowa, Jan Łęgowski z Glinika Mariamp. Stanisław Żelazko z Chorzelowa. Z Nr 7 (253) — A. Zabłocka z Rzeszowa, Tadeusz Trembulak z Rzeszowa, Stefan Stąpor z Rzeszowa.

Z Nr 8 (254) — Maria Potocka z Sanoka, Izabela Migas z Przeworska i Edward Gąska z Wojsławia. Nagrody wysłano 13 kwietnia br.

Sprostowanie: W nr. 13 (259) należy skreślić zbędną nazwę zadania „Szarada kwietniowa", zaś w nr. 14 (260) opuszczono nazwę zadania „Krzyżówka", nadesłanego przez Jana Nowaka.

Biały kruk na wystawie w księgarni

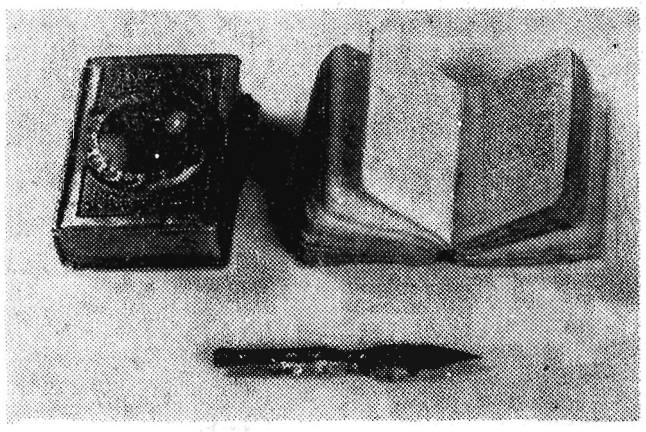

W związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy księgarnie w Przemyślu przystąpiły do konkursu o urządzenie najładniejszej wystawy księgarskiej w kraju.

Spośród wystaw sklepowych przemyskich księgarń wyróżniła się wystawa księgarni przy ul. Mickiewicza 2, poświęcona uczczeniu 100-lecia śmierci naszego największego wieszcza Adama Mickiewicza.

Oprócz wydawnictw literatury mickiewiczowskiej oraz dzieł poety wydanych w okresie dziesięciolecia w witrynie tejże księgarni został wystawiony bardzo ciekawy eksponat, to jest miniaturowe wydanie zebranych poezji wieszcza z roku 1898, wydane z okazji stulecia urodzin Mickiewicza, a noszące tytuł „Pamiątka Jubileuszowa 1798 — 1898 Poezye Adama Mickiewicza" Wydanie Jubileuszowe Warszawa, Nakład M. Szolca 1798 — 1898. Druk P. Laskauer i W. Babicki.

Podkreślić należy, że książeczka ta o wadze 6 gr. i 20 centygramów, o formacie 2,2 cm x 3,1 cm liczy około 800 stron maczkowego druku, który odczytać można tylko przy pomocy szkła powiększającego, zawiera wszystkie poetyckie utwory naszego wieszcza, wydrukowane na bibułkowym cieniutkim papierze. To drukarskie cudełko umieszczone jest w metalowej kasetce, w której wieczko wprawiono soczewkę, a na denku wytłoczono sylwetkę pomnika, na grzebie zaś wyryto skośnymi literami: „Mickiewicz — Poezye".

Na zdjęciu widzimy metalowe pudełeczko wraz z eksponatem zminiaturyzowanych myśli wielkiego poety.

Dla porównania wielkości tego „białego kruka" położono obok zwykłe szkolne pióro.

J. Krywiak

Szachy

W półfinałach szachowych mistrzostw Polski w Częstochowie wzięło udział 16 zawodników w tym 1 mistrz krajowy i 7 kandydatów. W turnieju tym kolejność miejsc była następująca: 1) S. Kwapisz 12 p., 2) J. Stokłosa 11 p., 3) S. Brzózka 10,5 p., 4) J. Szukszta 10,5 p., 5) A. Borhardt 9 p., 6) J. Segiet 8 p., 7) K. Fiala 8 p., 8) I. Zagórski 7,5 p., 9) Kaszowski 7,5 p. 10) W. Słomak 6,5 p., 11) A. Czarnota 6 p., 12) Z. Bolesławski 6 p., 13) E. Borski 5,5 p., 14) T. Izdebski 5 p., 15) J. Rygiel 4,5 p. 16) Z. Węgrzyn 2,5 p. Ogólnie dobrze wypadł mistrz wojew. rzeszowskiego I. Zagórski, który 50 proc. wynikiem potwierdził normę kandydacką, biorąc jednak pierwszy raz udział w półfinałach, zbyt forsowną grą w kilku lepszych partiach, zaprzepaścił poważne szanse na miejsce w finale. Podajemy najkrótszą partię półfinałów charakteryzującą ryzykowny styl gry w tym turnieju, naszego reprezentanta: Białe I. Zagórski, czarne W. Słomak: 1. e4 c6, 2. d4 d5, 3. Sc3 d x e4, 4. S x e4 Sf6, 5. Sg3 e5 6. Sf3 e x d4 7. S x d4 Gc5, 8. Ge3 0-0, 9. Ge2 Hb6, 10. 0-0 Sd5, 11. Gc4 S x Ge3, 12. f x Se3 Sd7, 13. W x f7! (efektowna ofiara wieży) W x Wf7, 14. Hh5 g6, 15. G x Wf7 + Kg7, 16. Sg3—f5+ g x Sf5 (po odbiciu wieży białe ofiarują z kolei figurę) 17. Sd4 x f5 + Kf8 (jeśli Kf6 nastąpi ruch jak w partii z nieco późniejszym zakończeniem) 18. Hxh7 i wobec mata w następnym ruchu czarne poddały. Tym razem ryzyko powiodło się, dlatego, że ofiary figur dokonano rozważnie i z zimną krwią.

Witold Degler

FRASZKI

Amerykański cud techniki

Raziści chwalą sobie tę pralnię,
co pierze brudy wprost idealnie:
z brunatnych, czarnych — ten prania system
robi koszulki białe i czyste.

Człowiek strzela...

Temu, kto wojnę wybiela,
ta zmiana przysłowia się przyda:
Człowiek strzela —
a kule nosi... inwalida.

FILATELISTYKA

Seria znaczków pocztowych, wydana pod koniec ubiegłego roku, a składająca się z trzech wartości przedstawia znakomitego czeskiego liryka, nowelistę i dramaturga **Jana Nerudę**, słowackiego poetę i powieściopisarza **Jiri Wolker'a**, uzdolnionego liryka opowiadań **Janka Jesensky'ego.**

Tegoroczny plan naszego Ministerstwa Łączności w dniach Oświaty, Książki i Prasy nie przewiduje niestety emisji, popularyzujących pisarzy i literatów polskich.

J. Krywiak